

Kiedyś jest teraz

Iwona Klimczak

(fragment)

ROZDZIAŁ IV

Po tygodniu spędzonym u matki i ojczyma Amelia stwierdziła, że trzeba jednak poszukać jakiegoś konkretnego zajęcia, bo to nicnierobienie wcale nie robi jej dobrze, zwłaszcza na nadwreżone nerwy, nie poprawia też jej nastroju.

Trzeba znaleźć jakąś pracę – pomyślała, przeglądając ogłoszenia. Jakaś redakcja, agencja prasowa, reklamowa. W ostateczności jakieś tłumaczenia.

Amelia nie zamierzała oczywiście brać byle czego, bo po kilku latach pracy dla uznanych redakcji i agencji zamierzała się cenić. Nie trafiła na nic ciekawego, ale wysłała swoją ofertę do kilku miejsc i postanowiła trochę poczekać.

Zauważyła, że od kilku dni coraz częściej myśli o dzieciństwie, o tych biednych, ale szczęśliwych latach z mamą, babcią i dziadkiem w niewielkim zaniedbanym mieszkanku w śródmieściu Łodzi, a później lepszym na Kamiennej Górze w Gdyni. Uwielbiała Gdynię. Zawsze chciała tu wrócić i mieszkać. Może dlatego, że kojarzyła jej się z bezpiecznymi latami? Później zakochała się w Hiszpanii i tam też chciała żyć i mieszkać. Aż zniszczył to ten drań, Oskar.

Spacerując wieczorami po plaży, myślała też często o babci Krystynie, niepamiętanej matce człowieka, który nie chciał być jej ojcem. Pamiętała wielki ogród i duży piękny dom z gankiem podpartym dwiema kolumnami, wokół których biegała aż do zawrotu głowy. Chodziła też po wielkim ogrodzie pełnym kolorowych krzewów, dużych grubych drzew i zbierała szyszki, które spadły z rosnących tam choinek. Musiała to być jesień, bo wszystko było żółte i czerwone.

A może by tam jednak pojechać? Zobaczyć ją, posłuchać, co ma do powiedzenia. Spytać, dlaczego nie chciała nam pomóc, a chciała mnie zabrać mamie? – pomyślała.

Dziewczyna stwierdziła, że i tak siedzi bezproduktywnie. Gdyby pojawiła się jakaś propozycja pracy, to internet dochodzi pewnie do tego dziwnego Ustronia. A jeśli jej się ta niby-babcia nie spodoba, to po prostu wyjedzie. Nie jest jej przecież nic winna.

Nazajutrz wstał piękny dzień. Najbliższe miały być podobne i wszystko wskazywało na to, że wiosna nie zamierza już ustępować zimie. I wiał ten cudowny wiatr, który Amelia tak uwielbiała.

– Pojadę jutro do Łodzi – powiedziała przy śniadaniu. – Mogę wypożyczyć gdzieś samochód?

Matka spojrzała na nią czujnie. Łódź, jej rodzinne miasto. To tu spotkała tego człowieka, który zostawił ją od razu na wieść o ciąży.

– Po co do Łodzi? – spytała ostro.

Amelia patrzyła jej prosto w oczy. Widziała jej reakcję, więc była pewna, że decyzja, żeby nie powiedzieć jej prawdy, była dobra.

– Jest tam taka dobra agencja fotograficzna, podobno szukają ludzi. Może się zatrudnię?

– Ale w Łodzi? – Matka była wstrząśnięta, jak wtedy, gdy Amelia powiedziała jej, że jedzie na studia do Madrytu, a później, że tam zostaje.

Łódź była miastem, w którym Amelia się urodziła i w którym mieszkała przez kilkanaście lat, zanim nie przenieśli się do Gdyni, gdzie dziadek znalazł bardzo dobrą pracę w porcie. Od tamtej pory nie byli w Łodzi.

– Nie chcę tam zamieszkać, mamo – uspokajała Amelia. – To, że pracowałabym dla tej agencji, nie oznacza, że muszę tam mieszkać.

– Jeśli to dobra oferta, to jedź, oczywiście, że jedź – powiedziała, jakby wyjazd Amelii miał zależeć od tego, czy Barbara wyrazi na niego zgodę.

– Nie musisz wypożyczać samochodu – wtrącił milczący dotąd Marek. – Jeszcze nie sprzedałem swojego starego auta, więc możesz je wziąć. Jest w porządku, sprawne. Jak ci się spodoba, to możesz nim jeździć, dopóki nie dorobisz się lepszego – mówił, zerkając na żonę. – Prawo jazdy masz? – spytał półżartem.

– Mam – przytaknęła Amelia. – Dziękuję. Jak wrócę, zacznę szukać jakiegoś mieszkania.

– Mieszkać też tu możesz, prawda, Basiu?

– Tak, oczywiście, dom jest duży. Nie ma potrzeby, żebyś szukała czegoś na łapu-capu. Przynajmniej spędzimy trochę więcej czasu razem. W końcu

parę lat cię właściwie nie było. – Matka się zastanowiła. – A może tu czegoś poszukasz? W końcu to Trójmiasto, możliwości mnóstwo. Dziadek też w Łodzi nie mógł znaleźć dobrej pracy, a tu od razu.

– Może masz rację, mamo. – Amelia była bardzo ugodowa, bo chciała uniknąć szczegółowych pytań, żeby nie musieć kłamać bez potrzeby. – Sprawdzę tę Łódź, a jak mi nie będzie pasować, poszukam czegoś tutaj.

Amelia zdawała sobie sprawę, że w swoim zawodzie i ze swoimi oczekiwaniami najłatwiej znajdzie pracę w Warszawie, bo w Łodzi wychodziły chyba ze dwie gazety, więc ilu mogli potrzebować fotoreporterów? Chyba że agencja reklamowa, co też mogłoby być ciekawe. Spojrzała na telefon. Oskar dzwonił dziś już trzeci raz. Dlaczego nie zablokowałam jeszcze tego numeru? – spytała samą siebie po raz kolejny.

Autostradą mknęło się szybko. Samochód prowadził się łatwo, a prędkość sprawiała, że można było się wyciszyć, ale nie mogła pozwolić, by myśli ją opanowały. Odzwyczaiała się od takich wypraw. W Hiszpanii jeździła komunikacją publiczną albo samochodem z ekipą, więc rzadko prowadziła sama. Tu też mogła wsiąść w pociąg i nawet to rozważała, do Łodzi dojechałaby szybko i wygodnie, ale jak udałoby jej się dostać do tej wsi o dziwnej nazwie – nie wiedziała. Wybrała więc samochód. Niezależność.

Zjechała z autostrady. Zerkała co chwilę na nawigację, którą włączyła na ostatnim postoju, tuż przed zjazdem. Bała się trochę, że może się zgubić, bo patrzyła jeszcze w domu na mapę w internecie i okolica była pełna gruntowych i leśnych dróg i drózek, które mogły okazać się problemem dla zwykłej miejskiej osobówki.

Wjechała do Grotnik. Pamiętała Grotniki – wypoczynkową wieś położoną wśród lasów, zielone płuca Łodzi, pełne ośrodków wypoczynkowych. Przynajmniej wtedy. Była tu na jakichś półkoloniach. Bardzo chciała jeździć na kolonie, ale nie było ich stać, więc spędzała wakacje z dziadkami albo właśnie na półkoloniach. Pamiętała wycieczkę do Grotnik, dzień spędzony na kąpielisku nad rzeką Lindą, a później jeszcze turniej siatkówki dla takich dzieci jak ona.

Po obu stronach wąskiej i kiepskiej drogi wyrosło sporo pięknych, stylowych domów i domków letniskowych położonych wśród lasów. Teren był wprawdzie lekko pofałdowany, ale określenie „góra” czy „górką”, jakie nosiło kilka okolicznych miejscowości, było zdecydowanie na wyrost.

Gdy minęła tablicę z napisem „Ustronie”, droga stała się jeszcze węższa, a asfalt gorszy. Po obu stronach piętrzył się mieszany las, wśród którego stały z rzadka domy i domki. Co jakiś czas mijała odchodzące w prawo i w lewo leśne dróżki. Sądząc ze śladów kół i tam pewnie były jakieś domy, choć z głównej drogi nie było ich zupełnie widać.

Co to za przyjemność tu mieszkać? Zakopać się w takiej głuszy? – pomyślała.

Nagle asfalt się urwał. Zupełnie niespodziewanie. Najpierw na drodze pojawiło się trochę piachu, kawałek dalej piachu było więcej, by za chwilę zupełnie pokryć asfalt. Miała przed sobą regularną, leśną, piaszczystą drogę prowadzącą wprost do okazałego – przynajmniej z jej perspektywy – lasu. Ale i tu były ślady kół, ktoś tędy jeździł, była więc szansa, że znajdowały się tu jakieś zabudowania.

Zawahała się. Zatrzymała samochód i zastanawiała się, co zrobić. Popatrzyła nieufnie na nawigację, która nadal pokazywała kierunek, i wyglądało, że jedzie dobrze, a cel ma za pięćset metrów.

– I co? Teraz nic nie powiesz? – spytała urządzenie.

Zerknęła na telefon. Zasięg był słaby. Myślała, co zrobić. Z jednej strony wydawało się, że wszystko jest w porządku, z drugiej bała się wjechać w las, bo piaszczysta droga mogła zrobić się jeszcze bardziej piaszczysta, a wtedy utknę. A jeśli nie będzie zasięgu, to utknęłaby na dobre. Mogłaby zostawić samochód, przejść te pięćset metrów i sprawdzić, ale musiałyby sama wejść w las, w którym było nie wiadomo co. No i zostawić samochód na, jakby nie było, środku drogi, bo zaparkować nie było gdzie i jak.

Amelia westchnęła i postanowiła zaryzykować. Skoro wpadła na ten głupi pomysł, żeby tu przyjechać, to teraz musi sobie poradzić. Ruszyła powoli i pilnowała, by jechać płynnie, bo każdy błąd groził zakopaniem się w piachu. Było tu dziwnie sucho. Po drodze padało, i to sporo, a tu tylko piach.

Po jakichś dwustu metrach las zaczął się przerzedzać, a droga zrobiła się nieco twardsza. Nagle wyrosła przed nią kolejna ściana drzew, a droga po prostu się kończyła. Dopiero gdy podjechała niemal pod same drzewa, zobaczyła, że w prawo i w lewo odchodziły dość wąskie leśne dróżki. Popatrzyła w jedną i w drugą stronę. Obie wydawały się identyczne. Spojrzała na swoją przyjaciółkę, nawigację, która wcześniej gadała jak najęta, a teraz, gdy była naprawdę potrzebna, zamilkła. Z mapki wynikało, że w prawo, ale Amelia podejrzewała, że nie ma zasięgu, więc diabli wiedzą, co ona pokazywała.

– I co teraz? W prawo czy w lewo? – mruknęła, zerkając w obie strony, jakby szukała podpowiedzi na drodze.

Skręciła w prawo. Przejechała kawałek i droga znów zakręcała.

– O matko, czy to się nie skończy... – westchnęła.

Po kolejnym zakręcie jej oczom ukazało się nieco przygarbione ogrodzenie z siatki. Las się nie skończył, ale to ogrodzenie było ważną zmianą.

– Jakiś ślad ludzkiej ręki! – ucieszyła się.

Po prawej stronie las też rzedniał i jakieś dwieście metrów dalej stał niewielki jasny domek. Z jego komina szła w niebo strużka białego dymu. Jechała powoli wzdłuż tego ogrodzenia z siatki, aż las się skończył i dojechała do szerokiej bramy wjazdowej. Po jej obu stronach rosły wielkie drzewa. Amelia nie wiedziała, co to za gatunek, ale były naprawdę okazałe. Od bramy szła dość wąska szlakowa droga, na końcu której stał dom. Zatrzymała się, bo brama była zamknięta. Spojrzała na budynek. To tu. Trafiła. Ale była mocno rozczarowana. Pamiętała piękny biały dom z brązową dachówką, dużym ganekiem i rosnącymi obok kolorowymi krzewami i drzewami. Wprawdzie ten dom miał ganek, ale był dużo mniejszy, nie był biały, tylko sinoszary, gdzieś gdzieś odpadał tynk, brakowało też kilku dachówek. Ogród również wyglądał nędznie. Niemal łyse gałęzie krzewów i drzew, jakieś pozostałości zeszłorocznych roślin, suche badyle rosnące i leżące byle jak i byle gdzie. Całość robiła wrażenie walącego się gospodarstwa, którego nikt nie doglądał.

Może babunia szuka robotnicy? – pomyślała ze złością.

Amelia się rozejrzała. Jak tu zaparkować? Podjechała maksymalnie blisko bramy, a później pomyślała, że próżno się trudzi, bo trzeba by chyba cudu, żeby ktoś przejeżdżał akurat teraz przez to zadupie.

Dziewczyna wysiadła i zastanowiła się, co dalej. Brama była zamknięta. Przy furtce nie było żadnego dzwonka ani domofonu. Ma czekać przy bramie, aż babka zauważy, że ktoś przyjechał? Czy wejść przez furtkę? O ile była otwarta. Nacisnęła klamkę. W końcu została zaproszona, wprawdzie pół roku wcześniej, ale trudno potraktować ją jak intruza, który bez pozwolenia wchodzi na nie swój teren. Otworzyła. Furtka straszliwie zaskrzypiała. Rozległ się przeraźliwy, żaloszny dźwięk, który świdrował jej w głowie. Skoro wywołała już taki zgrzyt w środku tego lasu, to pomyślała, że wejdzie. Zrobiła kilka kroków i się rozejrzała.

W głębi ogrodu zobaczyła wysokiego ciemnowłosego człowieka, który z wielkim rozmachem grabił jakieś resztki zeszłorocznej roślinności, wznosząc

przy tym sporo kurzu. Miał na sobie jasną bluzę i ciemne dresowe spodnie. Pewnie jakiś ogrodnik.

Jeśli ma w obowiązkach dbanie o stan furtki, to babcia powinna go wyrzucić na zbity pysk – pomyślała.

O dziwo, nie zareagował na to donośne skrzypnięcie.

Taki pracownik to skarb. Dobrze, że grabie umie trzymać – dodała w myślach zgryźliwie.

Nagle z boku dobiegł ją dziwny szelest. I jakby cichy warkot. Obejrzała się i zamarła. Kilka kroków od niej stał wielki ciemnorudy wilczur i wlepił w nią czujnie brązowe ślepią. Pysk miał lekko otwarty i pokazywał fragmenty pokazanych białych zębów. Pies robił wrażenie, jakby tylko czekał na ruch Amelii, by skoczyć i pewnie rzucić jej się wprost do gardła. Dziewczyna nie wiedziała, co ma zrobić. Nigdy nie miała psa. Babcia Zosia miała kota, którego Amelia bardzo lubiła, ale to przecież nie to samo. Kot nie patrzył na nią z mordem w oczach.

Stała tam, bojąc się wykonać najmniejszy choćby ruch. Przez chwilę przemknęło jej przez głowę, że może udałoby jej się zrobić te kilka kroków, by znaleźć się ponownie z drugiej strony furtki, ale uznała, że nie miałyby najmniejszych szans. Bała się nawet krzyknąć do ogrodnika, bo pies i to mógłby uznać za agresywne zachowanie i zaatakować.

Nagle rozległ się krótki gwizd i pies zniknął tak szybko, jak się pojawił, by za chwilę znaleźć się przy nodze ogrodnika, który rzucił grabie na ziemię. Pogłaskał psa po łbie i wolnym krokiem, jakby z niechęcią, ruszył w jej stronę. Właściwie ruszyli razem, bo pies szedł przy nodze pana, nie wyprzedzając go ani o krok. Orodnik miał rozbawioną minę, która – w miarę jak się do niej zbliżał – zmieniała się w nieprzyjazną. Był wysoki, choć może nieco zbyt chudy. Lekko zmarszczone czoło nadawało jego twarzy groźnego wyglądu.

– Psa należy trzymać na smyczy, nie wie pan? – powiedziała teraz już odważna Amelia.

– Nie należy wchodzić na cudzy teren, jak się nie wie, co na nim jest, nie wie pani? – powiedział ze złością, ale i, jak się Amelii wydawało, z lekkim rozbawieniem.

– To raczej nie pana teren, więc nie pan decyduje, kto i gdzie wchodzi – odparowała kładąc nacisk na to „wchodzi”.

Orodnik spojrział na nią groźnie.

– Właścicielka się znalazła – powiedział ze złością.

Pies zawarczał cicho i Amelia zerknęła spłoszona. Mężczyzna spojrzął na nią i zobaczył strach w jej oczach.

– Cicho, cicho – powiedział miękko do psa, głaszcząc po łbie.

– Podam pani rękę, a pani poda rękę mnie, żeby ona widziała, że nie jest pani wrogiem. Wtedy będzie spokojna. Ona bardzo nie lubi, jak ludzie się kłóć.

Wyciągnął rękę.

– Mam na imię Patryk.

Złapała jego dłoń i uściśnęła.

– To strach z takim psem – powiedziała spokojnie. Nie zamierzała mu się przedstawiać, bo i po co.

– Wręcz przeciwnie. Jak widać – powiedział Patryk, uśmiechając się lekko i znów głaszcząc psa.

Amelii nie udzielił się dobry nastrój ogrodnika.

– Czy pani Krzemińska jest w domu? – spytała z wyższością.

– Co? – bąknął tylko, a na jego twarzy widać było zaskoczenie.

– Pytam, czy jest pani Krzemińska. Pan tu pracuje?

Patryk patrzył na nią z głupią miną.

– Nieważne, niech pan się zajmie robotą. I psem. Sama sprawdzę – powiedziała, robiąc ostrożnie krok w stronę domu. Ostrożnie, bo wciąż nie była pewna reakcji psa.

– Otworzę bramę, niech pani wjedzie tym samochodem.

Amelia przypomniała sobie o aucie.

Racja, lepiej wjechać. Ale jest jakiś dziwny. To może lepiej nie? – pomyślała.

– Niech pan otwiera, ja najpierw sprawdzę, czy babcia w domu, skoro nie umie pan odpowiedzieć na proste pytanie.

Patryk popatrzył na nią z wściekłością.

– Umie, nawet bardzo umie. Pani babcia jest w Zgierzku, przy Parzęczewskiej. Tam chwilowo mieszka. – Uśmiechnął się krzywo.

– Dlaczego tam? Dlaczego chwilowo? – Amelia wciąż nic nie rozumiała, a ten głupek coraz bardziej ją denerwował.



Ciąg dalszy nastąpi